

Waldemar Lejdward



**NIEUSTAJĄCE
ŚWIĘTO**

Waldemar Lejdward

NIEUSTAJĄCE ŚWIĘTO

© Copyright by
Waldemar Lejdward
Grafika na okładce: Waldemar Lejdward
Projekt okładki: Waldemar Lejdward
Korekta: Karolina Kaźmierska

ISBN e-book 978-83-7859-602-8
ISBN druk 978-83-7859-603-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2015

1.

Wiosna minionego roku przysła bardzo późno. Jeszcze pod koniec marca trwała zima. Gruba warstwa śniegu okrywała niemal całą powierzchnię ziemi. Powietrze było mroźne, a ostry, przenikliwy wiatr wdzierał się pod każdą warstwę odzieży. Jechałem do sanatorium w Inowrocławiu i wyglądałem przez okno kolei elektrycznej. Pola były niewidoczne pod śnieżną okrywą. Gdzieś tam wystawały ponad białosrebrzysty obszar bezlistne drzewa, które wyglądały jak wysuszone badyły. Domy były szczelnie zamknięte. Żaden ruch nie był widoczny wokół posesji. Pociąg szczerkał na rozjazdach torów, mijał zamknięte bariery kolejowe, za którymi nie stał jakikolwiek pojazd oczekujący na przejazd. Zima zatem panowała wciąż niezmiennie, nie opuszczała zajętego terenu, a wiosna oczekiwała gdzieś w oddali na wyznaczoną przez naturę kolej.

Dojechałem do Inowrocławia. Wszedłem przed dworzec. Na zewnątrz było pusto. Na pasażerów nie oczekiwał żaden autobus ani taxi. Może po Inowrocławiu nie jeżdżą taksówki. Przez głowę przemknęła myśl. Należało zatem iść pieszo do sanatorium. Z autopsji wiedziałem, że budynek sanatorium znajduje się przy parku zdrojowym. Wypadało ruszyć ulicą Dworcową, dojść do skrzyżowania, na którym umieszczony jest obelisk z układem słonecznym, skręcić w aleję Kopernika, dotrzeć do alei Roosevelta i odszukać ulicę Solankową. Dworcową przemierzyłem dość szybko. Słońce świeciło nad miastem, ale porywisty wiatr ziębił nieosłonięte ręce, które trzymały pałak wózka bagażowego. Żałowałem, że nie

zabrałem skórzanych rękawiczek, przydałyby się teraz nieodzownie. Po drodze minąłem otynkowany na biało kościół w kształcie rotundy, przykryty blaszaną kopułą; do wejścia prowadził portyk wsparty na czterech smukłych kolumnach. Minąłem świątynie i pośpieszyłem dalej. Wkrótce dobrnąłem do Solankowej. Spojrzałem w głąb arterii i ujrzałem u wylotu wysoki gmach sanatorium. Intuicja jednak nie zawiodła. Zbliżyłem się do zakładu leczniczego. Budynek składał się z dwóch części; wkrótce przekonałem się, że również posiadał trzecią część, widoczną jedynie od strony parku. Naroże ulicy Solankowej stanowiła budowla o piramidowym kształcie. Policzyłem: było pięć segmentów, o coraz mniejszej kubaturze, ułożonych jeden na drugim, pozostawiając wolne przestrzenie z jednego boku. Wolne odstępy okazały się tarasami widokowymi dla pensjonariuszy zajmujących poszczególne piętra. Wszystkie tarasy zwrócone były w stronę parku zdrojowego. Zasadniczym elementem całego zespołu architektonicznego był dziesięciopiętrowy wysokościowiec, o finezyjnie wygiętym, lecz betonowym zadaszenu.

Wkroczyłem do holu, w którym mieściła się recepcja. Podeszedłem do kontuaru. Za wysoką ladą siedziała sympatyczna blondynka, której podałem posiadane skierowanie. Pracownica poprosiła, bym usiadł w fotelu i poczekał, aż załatwi wszystkie formalności wpisowe. Po chwili blondynka skinęła ręką i podeszedłem do kontuaru. Recepcjonistka położyła na blacie mebla kartę pobytu oraz klucz do pokoju z numerem 307. Następnie wyjaśniła, którądy mam iść, żeby dotrzeć do wskazanego pomieszczenia. Podziękowałem pracownicy i ruszyłem na poszukiwanie numeru. Minąłem jeden długi korytarz, potem drugi, aż wreszcie dobrnąłem do klatki schodowej, z przylegającą do części budynku windą osobową. Wjechałem na trzecie piętro i odnalazłem wyzna-

czony na czas pobytu pokój. Pomieszczenie było niewielkie, ale gustownie urządzone. Meble były nowe i wygodne. We wnętrzu znajdowały się dwa łóżka, stół, szafa garderobiana oraz pomocnik, na którym stał telewizor. Wyłożona kafelkami łazienka z kabiną prysznicową była schludna i czysta.

Podszedłem do okna, odsunąłem firankę i wyjrzałem na zewnątrz, żeby zapoznać się z widokiem miasta. Ulica Solankowa łączyła się z ulicą Wilkońskiego. Po drugiej stronie arterii stało wiele rozmaitych domów. Ale najładniejsza była willa umieszczona na skrzyżowaniu szlaków. Budynek był piętrowy, pokryty śnieżnobiałym tynkiem, z czerwonym dachem mansardowym. Cechą, która wyróżniała budowlę od innych domostw, był wysoki portyk sięgający niemal szczytu dachu, wsparty na olśniewających również białą kolumnach. Za willą znajdowały się budynki także o równych wysokościach, jedynie w oddali, ponad dachy wyrastała pojedyncza, szara, kwadratowa wieża kościoła, z cienkim krzyżem na wierzchołku.

Następnie przystąpiłem do rozpakowania przywiezionych rzeczy osobistych. Ułożyłem wszystkie sztuki odzieży w szafie, a przybory toaletowe umieściłem w łazience. Kiedy uporałem się z niezbędnymi zajęciami porządkowymi, postanowiłem zjechać windą na parter i udać się do stołówki, żeby ustalić z kelnerką terminy posiłków oraz miejsce stałej konsumpcji. Odszukałem dziewczynę podającą do stołu i uzgodniłem zasady korzystania z jadłodajni, a także rodzaj przysługującego menu.

Po powrocie do zajmowanego pokoju zastałem w pomieszczeniu nowego lokatora. Gość był niewysoki, korpulentny, z siwą czupryną na czubku głowy i jasnosiwymi, krótkimi wąsami pod nosem. Wykładał posiadany bagaż z walizki i umieszczał poszczególne przedmioty w wolnych miejscach w szafie.

Przywitaliśmy i przedstawiliśmy się:

- Gabriel - rzekł wprost. - Dla znajomych: Gabi.

- Emil - odparłem.

- Skąd jesteś? - spytał.

- Z Gniezna. A kolega?

- Z Łodzi.

- Posłaniec Boży z miasta Łodzi - zażartowałem.

- Matka tak nazwała swego potomka. Chciała, żebym pilnował porządków, no i zostałem... gliną. Ale bez szkody dla ludzi.

- Przewidująca kobieta - stwierdziłem.

- Jesteś na emeryturze?

- Tak.

- A co robiłeś?

- Byłem nauczycielem.

- Ekstra.

- O co chodzi?

- Nic. Nic.

Gabi miał lekko różową cerę i puciołowate policzki. Nie wyglądał na kogoś, kto był gliniarzem. Mógł być trenerem sportowym szkolącym młodzież piłkarską... albo instruktorem nauki jazdy na kursach samochodowych. Oczami w kolorze orzechów spoglądał ciekawie, ale bez natarczywości.

- Dorabiasz jeszcze? - zapytał.

- Tak. Udzielam korepetycji.

- Też dorabiam. Pracuję w ochronie bankowej. Wykonuję

ciężką i wyczerpującą robotę.

Skończył układać odzienie na półkach i usiadł na łóżku.

- Pracuję dwanaście godzin na dwanaście, nie mam wolnych dni ani świąt; żeby przyjechać do sanatorium, musiałem otrzymać zgodę na czas pobytu w placówce oraz zapewnienie innego kolegi, że będzie pełnił zastępstwo, gdy opuszczę stanowisko pracy.

- Nie masz lekko.

- Zgadza się.

- Mam sześćdziesiąt trzy lata i trudną sytuację rodzinną.

Ale niczego nie żałuję.

- W życiu różnie bywa.

- Oczywiście.

- Jestem trochę starszy od kolegi... i także doznałem różnych przykrości.

- Mamy zatem trudną przeszłość.

- Zapewne.

- Co będziemy teraz porabiać?

- Pójdziemy na obiad.

- Wiesz, gdzie jest jadalnia?

- Tak. Pokażę koledze.

W stołówce okazało się, że ziomek otrzymał inny stolik, więc na czas posiłku rozstaliśmy się. Zjadłem obiad i wróciłem do pokoju. Nie zastałem współlokatora, toteż postanowiłem zwiedzić park zdrojowy i odszukać na terenie kompleksu tężnię. Założyłem ciepłą kurtkę oraz mocne buty i opuściłem budynek sanatorium. Placyk przed wejściem był przykryty śniegiem, tylko ścieżka, przetarta przez zaspę, wiodła w głąb terytorium. Pośrodku półkola zauważyłem dziwną, betonową figurę w kształcie stożka, o bardzo smukłym i prze-

krzywionym wierzchołku. Obszedłem rzeźbę i puściłem się w kierunku najbliższej budowli parkowej. Obiekt był niski, prostopadłościenny, lecz z wysoką, kwadratową wieżą zwieńczoną blankami. Ściany budowli pokryte były białą farbą, ale powłoka murarska odpadła, miejscami odsłaniając cegły. Przeciąłem niewielki plac z muszlą koncertową - i w odległej perspektywie alei, ujrzałem sylwetkę tężni. Przed tężnią znajdował się staw skuty lodem, przez który przerzucony był most. Przeprawa mostowa była drewnianą strukturą, z solidnymi barierami i elektrycznymi latarniami na słupach w kształcie wygiętych lasek. Przekroczyłem most i zatrzymałem się przed tężnią. Konstrukcja całości tworzyła pionową ścianę wypełnioną ściętymi gałęziami krzewów, wspartą drewnianymi przyporami. Tężnia była jednak przestrzenną budowlą hydrotechniczną, do wnętrza której prowadziły połączone trzy wejścia. Minąłem przejście i znalazłem się między zrębami drewnianej twierdzy. Tężnia składała się z dwóch zespolonych sześcioboków o różnych wymiarach: jeden mniejszy, drugi większy. Pierwsza część była nieczynna, natomiast w następnej solanka kapała kroplami, sącząc się między cienkimi odrostami drzew. Śnieg był odgarnięty wzdłuż ścian tężni, więc przespacerowałem się wokół wnętrza zespołu. Słysząc było szmer ciekącej wody i czuć zapach solanki: mocny, ożywczy i przesycony wilgotnym drewnem.

Mroźny wiatr dawał się jednak we znaki. Nic nie zapowiadało zmiany pogody, podjąłem więc decyzję o powrocie do siedziby sanatorium.

Kiedy wkroczyłem do pomieszczenia, współtowarzysz był już w pokoju.

- Cześć, przyjacielu! Gdzie byłeś?
- Zwiedzałem park solankowy.

- Acha! Zrobiłem zakupy - oświadczył dumnie. - Będziemy pili kawę. Lubisz MK Premium?
- Nie piję kawy.
- Dlaczego?
- Mam nadciśnienie.
- Szkoda. Nie mogę żyć bez kawy. Rano muszę wypić kawę. Kawa stawia na nogi i poprawia samopoczucie. Niezwykle cenny napój!
- Wierzę. Też lubię smak i aromat kawy, ale nie mogę jej pić.